PRZYGODA SZEKSPIRA

— 1593. —

(Z dziet Alfonsa Brot).

I.

Teatr Londyński co się przed chwilą rozlegał tysiącem głosów, co tysiącem rąk przyklaskiwał niezaginionemu dziełu wielkiego Szekspira, niemy był teraz; kilka więc minut wystarczyło na usunięcie udanego życia, scena straciła swoje złudzenie, poeta świat swój utracił.

Cały jeszcze trawiony wzruszeniem, cały promieniejący chwałą, William zstąpił ze swego nieba na ziemię śmiertelnych; kilku młodych lordów pociągnęło go ze sobą do traktyerni; trzpioty, nie pojmowali, że podobna bóstwu po stworzeniu świata, dusza wieszcza po wydaniu nieśmiertelnego płodu, potrzebowała milczenia i zagłębienia się saméj w sobie.

Biedny Szekspir godny był litości, on, wielki człowiek, mający zaszczyt upajać się ze zgrają herbownéj szlachty!...

A jednakże, jakgdyby brzemie tryumfu zbyt ciężkiem było dla niego, mieszał tęskną swoją wesołość, z ochydną wesołością towarzyszów nocnéj hulanki, każdy jego żart z szalonemi przyjmowano wrzaski; lecz konwulsyjne zadrzenia jego twarzy, brwi zmarszczone, aż nadto dozwalały zgadywać że ta pusta wesołość gorzkie ukrywała szyderstwo.

Przesyceni winem, obmierzłemi żarty, niektórzy leżeli powaleni na długich stołach, inni rozciągnięci na podłodze, śród potłuczonych butelek; a podczas tego skalanego snu, przy roztwartém oknie, aby świeżość sierpniowéj nocy oczyściła ten pobyt ohydy, jeden człowiek myślał.

Szekspir, tylko co wyszły z tryumfu i biesady, z okiem wlepionėm w niebo, z duszą pogrążoną w zachwyceniu, miał w sobie cóś niewysłowionego, unoszącego. Surowa twarz jego, na wpół promieniem księżyca oświecona, tak dobrze wyrażała ową poezyę jego wynalazku, cudowny utwór jedną myślą ogarniający wiek cały, zamykający całe królestwo w sześćdziesiąt stopowém przestworzu! może też prócz tego wąsy, hiszpanka, ciemne ubranie i karbowana kryza, wyłączny charakter owéj epoki, nadawały bladéj twarzy Williama wyraz nieznany za dni naszych. Bądź co chce, był nader piękny!

Niezadługo przerwano jego dumanie: wszedł paź i oddał mu bilet. William przeczytał, odczytał, i okazawszy nadzwyczajne zadziwienie wyszedł z traktyerni.

Towarzyszyło mu pachole, lecz przez całą drogę, którą odbyli konno, ani słowa nie odpowiedziało na liczne jego pytania. Stanęli wreście przed bramą ogrodu, a William sądził że to ogród królewski Windsor, o kilka mil od Londynu.

Paź drzwi otworzył, potém po mnogich zakrętach, zatrzymał się nagle w prost pawilonu, opuścił towarzysza cichym mu rzekłszy głosem:

— Poczekaj panie poeto, zaraz tu ktoś przyjdzie. Szekspir skamieniały tém co przeczytał, zdziwiony że się znajduje w ogrodzie należącym do najpierwszéj z królowych

świata, dotykał ręką drzew, krzaków, gaików, aby się zapewnić że to nie sen roskoszny, a że noc była ciepła, że wonne kwiaty balsamowały powietrze, zapomniał o schadzce i zabłąkał się w zakrętach ogrodu.

Natchnienie uniosło go na potężnych skrzydłach swoich. Daleki głos dał się słyszeć, przypomniał sobie że na niego czekano.

Pożerany żądzą przeniknienia tajemnicy osłaniającéj tę schadzkę, szukał, lecz na próżno, pawilonu. Po długim obiegu ławka wpadła mu w oczy; znowu jak pierwéj zapominając o swojém dziwaczném położeniu, wpadł w ponure dumania, rozmyślał o swém dziele, i silnie uderzając się w czoło półgłosem wymówił:

— Biedny mój Romeo, biedna moja Zulietto, dla czegóż was poświęciłem dla odrobiny sławy? Po cóż, ja, com was utworzył podług kaprysu mojéj wyobraźni, ja, com w długich bezsennych nocach zwolna użyczył wam namiętności duszy! po cóż dziewicze wasze wdzięki sprzedałem za złoto? całąście miłość moją posiadali, a teraz muszę ją podzielać z innemi; gdyby was jeszcze kochano jak ja kocham! Powiodło się wam dzisiaj, podobacie się jutro; bo promieniejecie młodością; lecz w lat sto, gdy ziemski wasz ojciec żyć już nie będzie, cóż się z wami stanie? Zgaśniecie, a ja was oboje nieśmiertelnemi marzyłem!

— Romeo i Zulietta żyć będą życiem świata, i nigdy nie ujrzą końca, — rzekł głos wychodzący z zarośli.

— Kto tu? — krzyknął poeta, prostując się jak był wysoki!

Ta co cię szuka, a o którejś niegrzecznie zapomniał.— Tenże sam głos odpowiedział.

William pośpiesznie się obrócił. Kobieta w bieli, z zasłonięta twarzą zbliżyła się ku niemu; stanął osłupiały; radośna z podziwienia które wzniecała, nieznajoma zatrzymała się o kilka kroków i patrzyła na niego z zajęciem.

— Zulietto, Zulietto, córo Kapuletów, powstajesz że ty z trumny z któréj cię wskrzesiłem? — szepnął wielki człowiek w obec ze swoim utworem.

Potém, dodał smutnie: — Mistress, wybacz szaleństwu nędznego autora; wyobraźnia moja, rozburzona wieczornemi wzruszeniami, obłąkała się; widząc cię odzianą w bieli, jak narzeczoną mojego Romea, powstającą z ziemi i sunącą się ku mnie tak lekkiemi kroki, mniemałem że masz skrzydła, zdało mi się że nędzna moja sztuka posiada potęgę wywoływać dusze zmarłych. Mistress, wybacz mi.

A gdy młoda kobieta stała nieporuszona, i nic nie odpowiadała, William, przypatrzywszy się jéj bacznie, znowu odezwał się, cały pomięszany tym zjawiskiem.

— Tak jest, nędznym tylko jestem pisarzem; mniemałem się wielkim malarzem natury, a poniżyłem w moich pismach szczytność stworzenia! Nim nowe nadałem życie mojéj Zuliecie, szukałem pierwszego jéj życia, zgłębiłem go: potém nadałem ciało jéj myślom, głos jéj namiętnościom, duszę jéj kościotrupowi, i dzieło moje wydało mi się doskonałem! O jakże byłem szalony! Obraz mój skończony podług mnie, był zaledwie szkicem; koniecznie pragnąłem poklasków tłumu żądającego tylko wzruszeń. Ach! Zulietto moja, skaziłem cię;.... ale wreście, wszakże uczyniłem to co mogłem, zabrakło mi jenjuszu. A potém, gdyby druga połowa poety była się wzniosła do wysokości moich natchnień! lecz Zulieta teatralna niezważała cię, czy przyklaskiwane uło-

żenie zbliżało się do natury; chciała tylko aby podziwiano kształtną jéj kibić, jak gdyby wytwornośc w ścisłym była związku z boleścią, ze śmiercią. Twarz jéj blada stawała się siną lub żółtą przy blasku kinkełów, nędzna umalowała się rużem, aby piękne jéj czarne oczy nie straciły swojéj wabności.

Mistress, Mistress, ja nie wiem kto jesteś, bo twarz twoja jest zasłonięta; nie wiem zkąd przybywasz, bo się sam tutaj przez czary znajduję; lecz ty jedna pojęłaś moją Zuliete, ty jedna godna jesteś ożywić ukochane dziecie moich nocy bezsennych!

— Williamie, wielkim jesteś poetą, — tenże sam głos odpowiedział, — najmocniéj téż pragnęłam ujrzyć ciebie.

— Bodajby przyszłość nie odwołała wyrzeczonych przez ciebie wyrazów, — rzekł William; oczy jego błyszczały w téj chwili niebiańskim prawie blaskiem, a jednak gorzkie szyderstwo górowało w téj myśli.

— Wieszczu, ja podziwiam ciebie, a podziwienie moje pociągnełoby za sobą podziwienie wielu tysięcy ludzi, skorobym tylko wyrzekła: Ludu Angielski, rycerze, szlachto, lordowie Angielscy, podziwiajcie Williama Szekspira, na kolana przed Williamem Szekspirem!...

— I któż więc jesteś? — nieśmiele spytał poeta zakwefionéj damy.

— Williamie, — mówiła daléj nieznajoma, — jenjusz twój tak jest potężny iż ogarnie Anglię, Niemcy, Francyę, świat cały....

Uniesiony Szekspir padł na kolana przed tą co wieczność zakreślała jako granicę jego sławy.

— Postępujesz w równi z tém co nigdy nie umiéra, nie klękaj u nóg kobiéty, — powiedziano mu surowo. — Powstał William.

— Sprowadziłam cię tutaj, — mówiła daléj nieznajoma, — a wstydzę się wyznać przed tobą najgoretszego z moich życzeń:

Zdało mi się, że z tak gwałtowną, ognistą jak ty posiadąsz wyobraźnią. z tak mocném pojęciem, z tak niesłychanemi myślami, musisz być zupełnie inaczéj utworzonym, wyłączne, zupełniejsze mieć życie!

— Zupełniejsze życie... prawda — powiedział poeta, — posiadałem go, lecz przez lat tylko kilka. To istnienie zużyłem; zgasło téż daleko prędzéj przed oznaczonym czasem. — I wymawiając te słowa, głos Szekspira przybrał znowu ów wyraz uroczysty, co prosto do duszy przenika, podobny pożegnaniu konającego.

— Wielki człowiek winien siebie krajowi swemu, — odezwała się zasłoniona kobiéta, — a historya Angielska jest piękną....

— Niechaj Bóg mi tylko kilku lat jeszcze dozwoli, a nie zaginie pamięć mego kraju. Posłuchaj, o! gdybyś wiedziała co ja tu marzyłem! — rzekł znowu uderzając się w czoło; — marzyłem, że gdybym miał zamiast kilku nędznych desek i kilku nędznych maryonetek, czterdzieści teatrów połączonych razem, i milion aktorów, historya świata oblokła by człowieczą postać w Anglii.

— W imię Królowéj Elżbiety, aresztuję was oboje, mocny głos zawołał, i w tejże chwili kilka pochodni oświeciło ową część ogrodu, gdzie William marzył nieśmiertelność, i kilka bladych twarzy officerskich wykazało się z pomiędzy

zarośli gaiku. Mimowolném wzruszeniem duma przysunęła się do poety; wydobył szpadę.

— Aresztuję was oboje w imieniu Królowéj Elžbiety, tenže sam głos powtórzył.

— Milordzie! już północ, bądź tak łaskaw odprowadzić Williama Szekspira, — rzekła nieznajoma niepodnosząc zasłony. Potém przemawiając do innych officerów: — Mości panowie, noc jest zimna, powietrze tego ogrodu mogłoby się stać dla was niebezpiecznėm.

Jak najściślej rozkaz jéj wypełniono.

— Williamie, — szepnęła mu opiekunka, — jutro o téj saméj godzinie, czekam tu na ciebie.

William skłonił się, wyszedł i téj nocy nie mógł kosztować spoczynku, tak był rozburzony tém co widział i słyszał; powziął jednak niezachwiane postanowienie wyjaśnić nazajutrz dziwaczną tajemnicę téj schadzki.

Nazajutrz o jedenastéj z wieczora, Szekspir był w pawilonie; tym razem nie oddalił się od naznaczonego miejsca.

Paź go wprowadził, i znowu znalazł wczorajszą nieznajomą, w bieli i zasłonioną. Tylko zdało mu się że téj nocy większe žaniedbanie panowało w jéj ubiorze; piękne jéj włosy, dotąd uwięzione w czepku, spływały falami na ramiona wdzięcznie lekkim przysłonione muślinem, dodając wabności urocznemu jéj strojowi. William skłoniwszy się damie pochwycił jéj rękę, a chociaž ją z zapałem całował, postrzegł uradowany že ta ręka, okryta wczoraj rękawiczką jedwabną, dzisiaj była obnažona i niewysłowienie delikatna. Chciał mówić, lecz bądź nieśmiałość, bądź początek miłości, bądź že znajdował iž milczenie niewymowny miało urok, žadnego nie mógł znaleść wyrazu. I zasło-

nięta dama milczała także, i gdyby nie dwie błyskawice strzelające z jéj oczu, gdyby nie mimowolne zadrzenia, możnaby ją wziąść za istotę duszy pozbawioną.

Williamie, — rzekła nakoniec, — przyjętoż dzisiaj dobrze twoją trajedyę?

Pani, — odpowiedział poeta, — jestem w téj chwili szczęśliwy, a jeśli mam wyznać, wszystkie moje marzenia o sławie nigdy ani dwudziestéj części nie przyniosły mi tego szczęścia, jakiego tutaj doznaję.

Zadrżała młoda kobieta na to niespodziewane wyznanie, szybko poniosła rękę do czoła jakgdyby pałało, a serce jéj biło tak mocno, iż pomimo gazy osłaniającéj jéj piersi, można było zliczyć jego uderzenia.

— Williamie, wszystko co się wydarza tobie od wczoraj musi ci się wydawać dziwném, — dodała głosem usiłującym przybrać wyraz obojętności, — posłuchaj mnie: przywołałam cię tu dzisiejszego wieczora, aby się napatrzyć, nasłuchać ciebie do woli; mogłabym cię gdzie indziéj widzieć, lecz niechciałam, ukontentowanie to nie byłoby zupełném.

Kilkochwilowe milczenie nastąpiło po tych lubych wyrazach; wstydząc się prawie tego co wyznała, młoda dama usiłowała powstać; William otoczył ręką, powabną jéj kibić, zatrzymał ją miłośnie, potém chwytając rękę, któréj nie miano siły mu wzbronić, okrył ją pocałowaniem. W kilka chwil późniéj był u nóg owéj kobiety, a mniéj surowa jak wczoraj, z upojeniem spoglądając na niego przesuwała delikatne swe paluszki we włosach poety.

Uniesiony szczęściem, zawołał: Ach! powiedz mi, powiedz czy tryumfy odniesione w teatrze, czy poklaski wielkich panów i pospólstwa, mogą iść w równi ze szczęśliwością ja-

kiéj przy tobie doznaję! Obok ciebie wszystko jest czyste, roskoszne, żadnéj wstecznéj nie pozostawia myśli.

— Nie pozostawia wstecznéj myśli, — dodał natychmiast; ach! pozostaje myśl wsteczna, tajemnica co nas otacza; lecz ty nie zawsze pozostaniesz niewidzialną dla biednego Williama, który stanął przed tobą w prostocie serca dziewiczego wszelkich uczuć miłości.

Lekkie zadrzenie zmieniło twarz młodéj kobiety; — Williamie, — zmienionym odpowiedziała głosem, — kochasz mnie więc! — Drzysz Pani.

I Szekspir pochwycił nieznaną rękę, pokilkakrotnie poniósł ją do swego serca, do swych ust.

— Biedny przyjacielu! — powtórzyła dama, — więc mnie kochasz?

— Czyż zbłądziłem, żem przybył na twój rozkaz? ach! przez litość, nawzajem jedno słowo, kochasz że mnie ty?

W tém wybiła dwunasta godzina.

— Północ! — zawołała młoda kobieta, — luby wieszczu, muszę cię porzucić.

— Jakto! tak prędko! — rzekł William.

— Tak, ale dzisiaj, to już na zawsze.....

— Na zawsze! — powtórzył przelękniony William.

— Konieczność tego wymaga, biedny mój Szekspirze, konieczność! nie jestże to pospolite prawo? nic na tém padole nie masz trwałego, nic, prócz dzieł twoich. Kochałam cię pierwéj nim tutaj przyszedłeś; ujrzałam cię, i wyznałam przed tobą to, co tylko Bóg i ja wiedzieliśmy! Williamie, powtarzam ci, kocham cię głęboką miłością, a jednakże nie powinnam cię już więcéj widzieć, wiekuisty rozdział staje pomiędzy nami!

— W chwili gdy wieczność zaczyna się dla skazanego na śmierć, kapłan za całą pociechę przedstawia mu obraz Boga; w chwili wiekuistego rozłączenia, ty co bóstwem mojém jesteś, podnieś tę zasłonę, dozwól widzieć siebie, a podwójnie pamiętać o tobie będę.

— Williamie, to czego żądasz jest niepodobieństwem. Wówczas otworzyły się drzwi pawilonu, poskoczyła ku nim zakwefiona niewiasta, znikła w alejach ogrodowych, te jeszcze ostatnie poszeptując wyrazy:

— Williamie, ukochany Williamie, żegnam cię na zawsze!

— Żegnam cię, żegnam, — odpowiedział William gasnącym głosem, i jak gdyby to wysilenie moc jego przechodziło; a dusza jego, uchodząc niby z ust z temi nieszczęsnemi wyrazy, padł na ziemię.

Nadzieja i miłość miały setnie jeniusz jego pomnożyć; miłość bez nadziei rozdzierała mu serce, przygaszała jeniusz.

Nazajutrz rano Szekspir ujrzał się w swoim domu, a gdy miał z niego wyjść, głowa jego była tak spokojną, myśli tak odświeżone, tak nieprzenikłą zasłoną zakryte wspomnienia, iż wątpił prawie czy przygoda jego nie była jednym z owych snów, wznoszących duszę aż do bram niebieskich i dozwalających oddychać ambrozyą nieśmiertelnych. Godzina przepędzona w ogrodzie Windsorskim wystarczała mu na cały rok miłości! a jaka godzina jeszcze! przepędził ten czas całując białą rączkę, improwizując szalone wyznanie, i wmawiając w siebie, że głęboko kochał nieznaną kobietę.

W niejakiś czas po swojéj Windsorskiéj przygodzie, z okiem wlepionym w ziemię, i czołem wspartém na ręku, jak

gdyby chcąc nieco ulżyć niezmierności jeniuszu wrzącego w jego głowie, Szekspir, w chłodny wieczór marcowy, tworzył osoby i układ jednéj ze swoich cudownych trajedyi, przenoszących w jednéj chwili z namiętności do namiętności, z krainy do krainy, z wieku do wieku.

Myślał, myślał, a poezya przyodziewała jego myśli, cudownemi, cierpkiemi wyrazy, i wielki człowiek pisał to, co kroki dwudziestu pokoleń zatrzeć nie miały.

W pośród tego natchnienia, tego wydawania na świat wzniosłego dzieła, William, jak gdyby chwilami wszelka energia usunęła się z jego serca, wszelka poezya wygasła w jego duszy, przechodził z życia do śmierci; podobny do strąconego archanioła, spadał z niebios w bezdenne przepaści. I w tych chwilach gorzkiego przesilenia, głębokiego skonu, zdala od siebie, jak najdaléj, ciskał papier i utwór rozpoczęty; i przechadzał się po swoim pokoju i wołał:

— Biedny Szekspirze, szczyć że się jeszcze żeś wyłączne otrzymał życie, że Bóg piętném swojém twe czoło naznaczył; ach! dla czegóż raczéj nie jestem do innych podobny ludzi? czemuż nie mam myśli, ich pospolitych namiętności, czemuż ich pospolitéj miłości czuć nie mogę? Miłość jakiéj doznaję zabija sztukę, bo od chwili gdy poezya miłości przewyższy poezyą sztuki, gdy nad nią przekładamy kobiétę, bywaj zdrowa nieśmiertelności, pałająca kochanko co nas owładasz przy rozpoczęciu życia, co zazdrośna hołdów tego którego masz uwiecznić, pogardzasz nim, jeśli komu innemu poświęcił teġoczesne życie, wyłącznie do ciebie należeć powinne . . .

Miłość zabija sztuki, biedny Szekspirze; sztuka codziennie gaśnie w tobie, opuszcza cię jeniusz, nieśmiertelność od-

dala się od dzieł twoich, a jednakże miłość niema dla ciebie ani boskich zachwyceń, ani głębokich uniesień duszy; jest to tylko obszerna puszcza, przebiegasz ją bez celu, nic wniéj nie znajdując! żadnego źródła co by zaspokoiło twe pragnienie, żadnéj palmy co by cię liściem swoim ocieniła, ze wszystkich stron pałające słońce, czczość nieprzebyta!

Bo też kochasz jak nigdy dotąd nie kochano! Bo kochasz kobiétę, któréjś nigdy nie widział, któréj nigdy nie zobaczysz! Głos jéj jak śpiew wcisnął się w twoje ucho, dusza jéj twoją ogarnęła duszę.

Biedny poeto, którego głos luby, miłe słówka, anielska dusza, do szaleństwa prawie przywiodły! Biedny poeto, któ-ry tak młody jeszcze, przyjmujesz na siebie ciężar miłości, mającéj może tak długo trwać jak twe życie!

Okropna ta myśl całkiem rozburzyła duszę Szekspira, pozostał niejaki czas jak gdyby życia pozbawiony; powstał nakoniec, zebrał swoje papiery, wyszedł i zwrócił kroki ku pałacowi Księcia de Broghill.

Wchodził właśnie gdy młoda kobiéta ubrana w bieli kazała się anonsować pod nazwiskiem Marszałkowéj Chabert.

Szmer podziwienia przyjął młodą Francuzkę i za prawdę, nie dosyć jeszcze oddawano jéj sprawiedliwości, gdyż to była osoba godna uwielbień na klęczkach, godna aby je wiek cały powtarzano. Była to istota tak blada i cierpiąca, żeby ją każdy przez całą wieczność chciał trzymać na łonie, usta do ust przyciśnięte, aby jéj udzielić choć cząstkę swego życia.

Była to słowem jedna z owych kobiet zmuszających do miłości, jedna z owych kobiet, które każdy podziwia,

na widok których najoziębłejszy nie może się wstrzymać od wykrzyknięcia... Ach! jakże piękna!...

Szekspir przez kilka chwil przyglądał się w osłupieniu temu widokowi, nie mogąc sobie wytłómaczyć miotających nim wzruszeń.

Postrzegł wkrótce młodych Lordów i panów zgromadzonych na bal, chciwie cisnących się za krokami Marszałkowéj, prawiących jéj najgrzeczniejsze słodycze, i ścisnęło się biedne jego serce.

Byłże to początek, czy tylko przeczucie miłości? Pan domu przybył na przyjęcie nowo-przybyłéj, i wziąwszy ją za rękę wprowadził do salonu.

Poszedł za nią William; głowa jego cała była w płomieniach; a gdy usiadła, wziął krzesło, umieścił się w kącie pokoju, i na każde wdzięczne poruszenie Marszałkowéj, z cicha poszeptywał: to ona! to ona! to mój anioł uwielbiony.

W kilka minut późniéj, zdjęła rękawiczkę okrywającą jéj rękę.

A Szekspir o mało nie padł na kolana, nieszczęsny jakowyś duch wył mu do ucha: Windsor, Windsor, rękawiczka Windsorska...

Wówczas z konwulsyjném oddalił się drzeniem, zginął w tłumie młodych Lordów; po nieskończonych krążeniach dostał się do salonu bogaciéj od innych przybranego.

Wszędzie iskrzyły żyrandole, rozrzucając w około światłość czystszą od dziennéj, jaśniejszą od téj co wypada z promienia letniego słońca.

Podniósł spojrzenie, a nieprzeliczone tłumy kobiét i młodych dziewcząt przedstawiły się jego oku, a pierwszem jego uczuciem było podziwienie. I w istocie, gdyby dawna je-

go miłość nie wyniszczyła w nim wszelki zapał i podziwienie; gdyby dusza jego nie była z kamienia, z lodu spojrzenia, jakżeby mógł obojętnie patrzeć na te tłumy młodych niewiast, o bladych licach, ciemnych włosach, wijące się w zachwycającym wirze tańca? William uległ tym czarom.

A potém muzyka takowym tchnęła wyrazem, naprzemian huczna lub miła!

Jaśniejące żyrandole, kobiety, dziewczęta, mnogi tłum młodzieży, orkiestra tysiącem brzmiąca odgłosów, tańce, walce, wszystko to na chwilę wybiło mu z głowy jego miłość.

Zabijała go obecna szczęśliwość.

Przeszedł do innego salonu: tam Księżna Broghill, otoczona dworem, siedziała na tronie ze szkarłatnego aksamitu, a błazen jéj Ginguet, przemawiający w téj chwili, zmuszał ją swojemi żarty śmiać się aż do łez.

William boleśnie spoglądał na karła przepysznie ustrojonego i oskarżał prawie opatrzność, że wydała tak poniżoną istotę.

Tańce kołowały jeszcze po wielkim salonie, rozlegała się muzyka; chciał jéj posłuchać; lecz bądź że jakoweś widmo przesuwało się przed jego oczyma i gdzie indziéj wabiło, bądź że potrzebował cichości i myślenia, wyszedł z wolna.

Poszedł usiąść w kącie salonu, gdzie się znajdował Książe i Marszałkowa.

Oparł głowę na ręku aby ukryć swoje wzruszenie i zaczął dumać.

— Jakto, już nas opuszczasz, pani Hrabino! — rzekł Książe Broghill, z uprzejmą dwornością przysuwając się do Marszałkowéj. — Więc pobyt w Anglii tak ci się wydaje nudnym? — dodał łagodniéj wlepiając w nią spojrzenie.

William uczuł na te słowa całą krew wzbijającą mu się do serca.

— Windsor nadewszystko jest powabném miastem—mówił daléj Książe, — prawie drugą ojczyzną dla ciebie, pani, tam to spotkałaś przed sześciu miesiącami...

William zadrżał cały i nieśmiał oddychać.

— Mości Książe!...—rzekła Marszałkowa tak stłumionym głosem, iż Szekspir nie mógł dzwięku jego zachwycić....

— Nie lękaj się pani zdrady ze strony rycerza Angielskiego; lecz zaklinam cię, słowo jedno: czy poniesiesz do Francyi wspomnienie tego co ci się przytrafiło w króleskich ogrodach Windsorn?...

— Wspomnienie to nigdy mnie nie opuści, Mości Książe, nie opuści mnie nigdy!— i cichszym dodała głosem:— A on, czyż znajduje się tutaj?

— Tak jest, pani,—odpowiedział Książe Broghill. Marszałkowa chciała wówczas śpiesznie powstać.

— Pozostań pani,—rzekł Książe,—pozostań.

— Chcesz ażebym pozostała,—odezwała się Hrabina,— posłuchaj, Mości Książe, gdybyśmy tylko oboje byli w tym pokoju, wzięłabym twoją rękę, położyłabym ją na czole, i spytała czy głowa moja nie dosyć płonie, czy się nie mięsza, i czy jeszcze wymagasz abym pozostała; wzięłabym znowu twą rękę, położyłabym ją tutaj, tak, na sercu, i rzekłabym: Czyż nie dość gwałtownie bije to serce, które masz upodobanie dręczyć, czy myślisz że każde z jego uderzeń okropną nie jest męczarnią... wyrzutem sumienia prawie?... A jeślibyś koniecznie żądał abym pozostała, czekałabym wówczas dopóki łzy w oczach moich nie wyschną, i na sło-

wo, Mości Książe, głośnobym krzyczała że niegodzien jesteś imienia szlachcica, które ci nadano, ani znamion któremi się herby twe szczycą.

— Pani, niekorzystnie o mnie sądzisz, — odpowiedział Książe Broghill, zapomniałażeś iż gaje Windsorskie są bardzo ciemne.

— Ciszéj! ach! przez litość, ciszéj! Tak, straciłam głowę; masz słuszność, Milordzie gaje Windsorskie są bardzo ciemne... Zostanę... zostanę... — I Marszałkowa głośno te ostatnie wyrzekła słowa.

— To ona! to ona! — zawołał Szekspir, oszukany tém zwierzeniem się.

Zadrżała Marszałkowa. — Nie wiedziałam, — rzekła z goryczą, — że salony Lorda Angielskiego otwarte są dla ludzi, których rzemiosłem jest czytać wyrazy z naszych poruszeń, i wybór ze spojrzenia!

— Biada podsłuchującemu.— pomruknął Książe i z iskrzącém okiem postąpił ku poecie, który zmięszany tém co widział i słyszał, z osłupiałością w około siebie spoglądał.

— Co tu robisz, Williamie? — zawołał Lord Broghill; potém przybierając zwykły wyraz uprzejméj dworności poprowadził go do Marszałkowéj: — Pani Hrabino, mam zaszczyt przedstawić jéj Williama Szekspira, autora Romea i Zulietty, a prócz tego mego przyjaciela.

Młoda dama odpowiedziała Księciu przyjaźném słowem i uśmiechem. Lecz Szekspir nic nie widział, nic nie słyszał, mniemał że śni, a brzmienie tego głosu zawiodło marzenia jego serca.

Paź przybył w téj chwili uwiadomić Księcia, że posłaniec Królowéj przyniósł mu depesze.

— Wybacz pani, — rzekł do Marszałkowéj, że się oddalam. Zresztą, — dodał, — zostawiam ci Szekspira.

William przybliżył się do Marszałkowéj. Po godzinie pogadanki, ognistéj ze strony poety, lodowatéj ze strony Marszałkowéj, wyszedł do innego salonu, i powtarzał z cicha odchodząc:

— To jéj głos, lecz jéj dusza... och! to nie jéj dusza! Uczucie którego wówczas doświadczał było moralném osłabieniem.

Wkrótce jednakże doznał roztargnienia: uniósł go tłum młodych lordów i panów, błagając aby improwizował jakowe wiersze.

William zebrał wówczas swe myśli, a każdy cisnął się z religijną uwagą wokoło niego: tak otoczony, zdawał się najstarszym pomiędzy tą szlachtą z dawnemi herby, on, co nie był niczém... tylko nieśmiertelnym poetą.

Powiedział im jeden z owych cudownych sonetów, dowodzących do jakiego stopnia tęskna poezya miała władzę nad jego duszą.

A gdy skończył, każdy w milczeniu ścisnął go za rękę; każdy wzniósł się do szczytności jego myśli. A Szekspir bardziéj pysznił się z tego tryumfu, niżeli z hucznych poklaskow całego ludu.

Marszałkowa wówczas zbliżyła się do niego: — Mości panie, — rzekła, — dokazałeś żem prawie polubiła poezyę.

— A poezya szczycić się kiedyś będzie z cudu jaki zdziałała, — odpowiedział Szekspir, oddalając się pogardnie. Tego wieczora zapomniał prawie o swojéj Windsorskiéj przygodzie.

(Dokończenie nastąpi).

POTIER.

(Szkic-biograficzny).

Opuszczają scenę francuzką wielcy aktorowie! Przed kilku laty umarł Talma, dwa lub trzy lata zeszła z tego świata panna Duchesnois, a teraz niedawno Potier stał się łupem śmierci. Zgon tego sławnego komika wzbudza chlubne wspomnienia łączące się ze świetnym jego zawodem dramatycznym. Potier był szczytnym gdy dosięgnął najwyższego szczebla swojego talentu, jak Talma, owe tragiczne cudo, gdy się wzbił do najwznioślejszego stopnia zdolności swoich. Obie te ozdoby sceny francuzkiéj w zupełnie przeciwnych sobie jaśniały rodzajach; lecz zbliża ich do siebie prawda z jaką duszą i ciałem umieli jednoczyć się z rolą swoją i nadawać jéj wyraz pełen życia. Widząc grającego Talmę zapominano tragika dla bohatera; widząc grającego Potier zapominano komika dla osoby którą przedstawiał. Dzięki urokowi ich gry, złudzenie było zupełném. Talma nie raz szedł na galeryę teatru *des Variétés* słuchać i podziwiać współkolegę, i nieraz wykrzyknął z zapałem: — dla czegóż Potier nie gra z nami na teatrze francuzkim? — John Kemble pojmował także naśladowcę Tiercelina i Bruneta, owe dwie wielkie sławy które nieporównany komik wkrótce daleko po za sobą zostawił. Nie raz zachwycony Kemble zawołał: — Wyrównywa naszemu Garrykowi! — Potier zasługiwał na te pochwały, podobnie jak Garryk, Kemble i Talma zasługiwali na pochwały, których im nieszczędzili wielbiciele szczytnego ich talentu. Któż zapomniał liczne utwo-

ry ról, któremi Potier oznaczył szczeble swego dramatycznego zawodu? Jużeśmy dawniéj powiedzieli że wielki ten komik przyodziewał niezatartém piętnem, właściwą sobie fizyonomią każdą z ról swoich; teraz zajmijmy się szczegółami co nam dadzą bliżéj poznać jego biografię.

Paryżowi co nas obdarzył Molierem winniśmy także Potiego. Urodził się roku 1775. Rodzina jego słynęła w prawnictwie i zasiadała w Parlamencie Paryzkim.

Przeznaczony początkowo do wojskowego zawodu, Potier umieszczony został w szkole militarnéj. Rewolucyjne zaburzenia poprowadziły go z karabinem na ramieniu na pola Jemmapes i Valmy. Wypłaciwszy dług krajowi, bohater dwóch owych wielkich bitew wrócił do stolicy i poświęcił się nauce sztuki dramatycznéj, do któréj nieprzezwyciężone czuł powołanie. Debiutował roku 1793.

Był najprzód towarzyszem Jonny na teatrze bulwaru du Temple, zwanym *Théâtre des Délassemens*, porzucił go dla sceny przy ulicy *du Bac*, gdzie wykonywał role drugich komików. Tam zaprzyjaźnił się z Désaugierem. Pewien prowincyonalny dyrektor, postrzegłszy świetne zdolności młodego aktora, których owczesna publiczność zdawała się nie pojmować, namówił go do swojéj trupy i okazał na wielkich i małych scenach Bretanii i Normandyi. Potier wszędzie był najlepiéj przyjętym, uwieńczonym, obsypanym poklaskami; Brest i Nantes szczególniéj były świadkami jego powodzeń i świtającéj sławy. Odtąd coraz bardziéj rozwijając swój talent, przez baczne rozważanie natury, niezadługo w pierwszym stanął rzędzie. Potrzebował tylko sposobności aby wielka sława bardziéj uzyzniła jego zasługi, dążące co raz do większego wzrostu. Niezadługo zdarzyła się

i ta sposobność, — zakontraktowanie do teatru w Bordeaux, dozwoliło mu wykazać całą potęgę jego talentu i świetne nadzieje przyszłości. Podzielał w tém mieście pierwsze komiczne role z Martellim, autorem dwóch Figarów.

Miejsce Potiego naznaczone było w Paryżu, przybył tam 1809 roku i wystąpił w teatrze *des Variétés*, gdzie jaśnieli wówczas Tiercelin, Brunet, Dubois, Joly, Bosquier Gavaudan, Aubertin, panie Ciuzot, Barroyer i t. d. Nadzwyczaj było trudno przecisnąć się przez ten tłum talentów, zarówno ulubionych i obsypywanych poklaskami od wyłącznéj publiczności. Pomimo cokolwiek chrapliwego głosu, wysłowienia się nieco monotonnego, gdyż było prostem i naturalném, Potier odważył się wystąpić w roli pana *André*, utworzonéj przez Bruneta. Parter, zwykle niepobłażający tym których nie zna jeszcze, przyjął go najprzeraźliwszém gwizdaniem, — lecz to jednak nie uczyniło przykrego na nim wrażenia. »Ba, — rzekł wszedłszy pomiędzy współtowarzyszy, gdzie go zwykłe czekały pocieszenia, — Paryżanie przyzwyczają się do mnie jaki jestem, albo wrócę na prowincyę.« — Niezadługo parter zmienił zdanie i połączył się z lożami, które pierwszego zaraz dnia, dobre o nim powzięły mniemanie. Od téj chwili wszystkie jego utwory były arcydziełami. W *Popisowym*, doskonale umiał korzystać z doświadczenia własnym kosztem nabytego i z zadziwiającą prawdą komiczną, przedstawił nieszczęścia, odznaczające zwykle wstęp do zawodu żołnierskiego. Dzięki nienaśladowniczemu natchnieniu i zapałowi, z jakiemi wszystkie role swoje odgrywał, zbogacił on dyrektorów, co potrafili zjednać sobie rzadki jego talent.

Potier odznaczał się szczególniéj wytwornym gustem, najdelikatniejszym taktem, największą prawdą w giestach i głosie. Powabny jego talent umiał się naginać do wymagań różnych ról, pozostać zawsze w granicach przyzwoitości i zachować miarę charakteryzującą aktora dobrego tonu.

Dnia 11 Kwietnia 1827 r. pożegnał teatr *des Variétés*, gdzie świeżo utworzył z niesłychaném powodzeniem rolę Bonawentury w *Niedogodnościach pośpiechu*, i na czas niejakiś usunął się ze sceny. Namiętne zamiłowanie teatru powróciło go jednak wielbicielom i widziano go kolejno na teatrach: *Nouveautés*, *Palais-Royal*, *Porte Saint-Martin*, *la Gaité*, — wyznać jednak trzeba, iż pomimo kilku pięknych i jenialnych utworów ról, lepiejby daleko uczynił gdyby się całkiem nie pokazał, gdyż wiek zaczynał ostudzać dramatyczny jego zapał. Prócz tego, słabe jego zdrowie wielkich starań wymagało. Pojął wreście Potier że trzeba innym miejsca ustąpić. Porzucił scenę i osiadł w wiejskim domku, w *Fontenay-sous-Bois*, z piętnastu tysiącami liwrów rocznego dochodu. Tam zgasł w sześćdziesiątym-czwartym roku życia, 19 Maja 1838, po dwóch latach coraz większego osłabienia władz umysłowych.

Dnia 22 t. m. zwłoki Potiego przeniesione zostały z *Fontenay-sous-Bois* do jego dawnego pomieszkania przy ulicy *Lancry*, a ztamtąd do kościoła Świętego Wawrzeńca, gdzie się odbyło za jego duszę żałobne nabożeństwo, z przyzwoitością i prostotą, które cechować powinny wszystkie pogrzebne, obrzędy. Pomiędzy autorami, idącemi za konduktem, odznaczali się pp. Merle, Brazier Cogniard, Antoni-Béraud, Desnoyers, Alboize, Amedeusz Thouret, Henryk Simon i Mélesville. Wszyscy prawie aktorowie i dyrektorowie teatrów

paryzkich, mieli sobie za powinność zwiększyć smutny ten orszak. Brunet, sędziwy Brunet, mimo podeszłego wieku i ulewnego deszczu, nie lękał się towarzyszyć koledze, lub raczéj przyjacielowi, na miejsce ostatecznego spoczynku. Gdy karawan wjechał na smentarz, Vernet, Bouffe, Gazot, Sainville, Guyon, Serres, ubiegali się o zaszczyt niesienia zwłok na własnych barkach. Rozczulającém było to jednomyślne natchnienie i głęboko wszystkich widzów wzruszyło. W chwili, gdy ziemia przyjmowała zwłoki Potiego, przepyszna pieczara zamykała się po nad ziemskiemi szczątki Księcia Talleyrand-Périgord.

Żałujemy iż niemożemy udzielić czytelnikom mów mianych nad grobem Potiego, przez pp. Bouffé i Antony-Béraud, gdyż nie były one pisane, lecz pochodzące z serca, jako cześć winna pamięci sławnego aktora, były proste jak prawda, cała czułość i łzy któremi tchnęły, pewnoby się osłabiły, gdybyśmy je z pamięci oddać chcieli.

Są wyrazy których się chętnie słucha, lecz które nie mogą być czytanemi! *W. S.*

ROZMAITOŚCI.

USTĘP Z ŻYCIA TALMY.

Wielcy artyści, ci którzy rzeczywiście na ten zaszczytny tytuł zasługują, nader wiele zyskują gdy są gruntownie znani i zbadani w szczegółach swego prywatnego życia. Ich wyższość, jeśli ma być istotną, powinna wypływać z serca, człowiek powinien stanowić artystę, czyli że wzniosłość talentu ma źródło w wzniosłości charakteru.

Talma sprawiał głębokie wrażenie w roli Farana w tragedyi *Abufar*, najpiękniejszym utworze Ducisa. Pewna panienka z wyobraźnią nader skłonną do wrażeń, widziała Talmę w tem dziele. W ośmnastym roku, bez znajomości świata, z umysłem wzburzonym czytaniem romansów, a bardziéj jeszcze marzeniami serca, jak wszystkie młode dziewczęta uległa wpływowi pierwszéj miłości. Ten stan rzeczy trwał kilka miesięcy, nie zajrzała do teatru Francuzkiego, nieszukała sposobów zbliżenia się do przedmiotu swojéj miłości; szczęśliwą będąc że może myśleć o Faranie, a przypominając sobie głos jego, niczego już więcéj niepragnęła.

Po sześciu miesiącach spędzonych w tym idealnym świecie, panienka udała się do Teatru Francuzkiego; przedstawiano znowu *Abufara*. Talma sam siebie przewyższył. Szkoła politechniczna massą obsiadła parter i przyjęła go z takiemi uniesieniami iż powiedział wówczas: »Ich oklaski mnie zamordują; muszę na nie zasłużyć.«

Sądźcie więc jakie wrażenie magnetyczne wzbudzić musiało, to wielbienie, w młodéj panience; lecz teraz gdy kortyna zapadła, wejdźmy za nią do jéj pokoju, wśród cichości nocy, wtenczas gdy wszelki gwar stołecznego miasta ustaje.

Pisze do Talmy... pióro biegnie po papierze zwilżonym jéj łzami. Cóż ona pisze? Czego żąda? Sama podobno niewie, bo gdy jaką stronnicę ukończy natychmiast ją rozdziera; poczém kawałki zbiera starannie i pali przy płomieniu świecy. Nareście napisała kilka wierszy, naznacza dzień, godzinę i najcienistszą aleję ogrodu Tiuleryjskiego. Nazajutrz bilet został wręczonym Talmie. Niema żadnego podpisu lecz badawczy umysł wielkiego artysty odgadł ją. Zastosowanie do Farana wykryło przed nim całą walkę miłości

zcnotą. Talma natychmiast powziął postanowienie; miał spełnić powinność uczciwego człowieka i ojca rodziny; przygotował się do téj schadzki zrobiwszy się starszym o lat kilka za pomocą toalety.

W alei oznaczonéj, postrzegł panienkę rosłą, z rysami smętnemi, z twarzą prześliczną, nie zwróciła ona najmniejszéj uwagi na starca który przeszedł dwa razy koło niéj. Jakże mogła domyśleć się że to mógł być Faran w tym długim i obszernym ciemnym surducie, w tym wielkim kapeluszu, w obszernéj chustce, zgoła w całym tém ubraniu podeszłego człowieka, przez które on w Październiku, wyprzedza zimę ochraniając się od rumatyzmu.

Godzina wybiła na zegarze zamkowym, a panienka oczekiwała spokojnie, nieokazując najmniejszego zniecierpliwienia; nareście Talma przystąpił do panienki. Jestem tym, rzekł do niéj: na którego pani oczekujesz.... Zdziwienie i wątpliwość, okazała panienka.—Tak, pani, nie oszukuję cię wcale, jestem Talma aktor Komedyi Francuzkiéj, a pomimo róžnicy ubioru, powinnaś przecie poznać twarz Farana. Widzisz ją, dodał uśmiechając się i pokazując swoją odkrytą głowę, my aktorowie, potrzebujem złudzenia scenicznego, będąc skazanemi odgrywać rolę kochanków z siwemi włosami. I cóž chcesz? debiutowałem w teatrze jeszcze przed rewolucyą, powiem ci nawet pani datę mego urodzenia, lecz to zatrzymaj w tajemnicy, urodziłem się 1763 roku.

Kilka łez błysło w oczach panienki. Talma udał že ich niedostrzegł.—Juž nie będę więcéj grał Farana, rzekł do niéj; wystąpiłem w téj roli po raz ostatni. Przyjdź pani widzieć mnie w *Manliuszu*. Poniewaž niepotrzebną jest rzeczą abym wiedział o mieszkaniu pani, daruj przeto že cię nieodprowadzę.

W téj chwili, na znak Talmy, przybiegło małe dziecie, chłopczyk pięcioletni, który stał w końcu alei, przy starym służącym. —Ploblo, odezwie się Talma do syna, uściskaj tę panią. — Dobrze papo, odpowie wesoło chłopczyk. — Panienka nachyliła się i ucałowała go z konwulsyjnym uściskiem. W dwie minut późniéj, ojciec, dziecie i stary służący, wszystko zniknęło.

Aczkolwiek łagodna, nauka była mocną; bo była stanowczą. *W. S.*